

CHCIELIŚCIE POLSKI, NO TO JĄ MACIE. CZTERY LATA PiS W ENERGETYCE [ANALIZA]

Czy przez ostatnie cztery lata w polskiej energetyce nastąpiła „dobra zmiana”?

Dla jednych energetyczną twarzą Prawa i Sprawiedliwości jest minister energii Krzysztof Tchórzewski, starający się chronić polski sektor węglowy i snujący plany budowy elektrowni jądrowej. Drudzy widzą w tej roli raczej ministra Piotra Naimskiego, odpowiadającego m.in. za projekt Baltic Pipe. Dla innych twarzą taką jest minister Jadwiga Emilewicz, promująca odnawialne, rozproszone źródła energii. Jeszcze inni wskazyliby na ministra Michała Kurtykę, który wziął na swoje barki ciężar organizacji COP24. Ktoś zapewne podkreśliłby też rolę ministra Piotra Woźnego, prezesa Daniela Obajtki czy prezesa Piotra Woźniaka. Ta mozaika nazwisk wskazuje już, że w ciągu ostatnich czterech lat PiS intensywnie starał się wdrożyć kompleksowy plan dla polskiej energetyki.

Na wstępie warto zauważyć dwie ogólne okoliczności, które warunkować będą rygorystykę oceny tych działań. Przede wszystkim, partia ta przez cztery ostatnie lata cieszyła się bezprecedensowym zakresem władzy – nie tylko miała samodzielną większość w parlamencie, ale także mogła liczyć na pochodzącego z jej łona prezydenta. Po drugie, dla polskiej debaty publicznej w 2019 roku energetyka nie jest tym samym, czym była jeszcze w roku 2015. Cztery lata temu temat ten kojarzył się głównie z chronicznymi problemami polskiego górnictwa i groźbą blackoutu. Dziś do medialnego mainstreamu przedostały się takie tematy, jak kwestia smogu, zmian klimatu, dekarbonizacji, elektromobilności czy rozwoju odnawialnych źródeł energii. Polacy zainteresowali się energetyką, przykładając do niej coraz większą wagę, choć nie są jeszcze dobrze zorientowani w tych kwestiach.

Gaz i ropa

Rozważania nad osiągnięciami PiS w energetyce warto poprowadzić według klucza poszczególnych sektorów tej branży. Na wstępie przeanalizujemy segment, który uchodzi za największy sukces ekipy rządzącej, czyli rynek gazu ziemnego.

PiS rozpoczął kadencję w momencie, w którym do użytku trafiał Terminal LNG w Świnoujściu. Decyzję o budowie tego obiektu podjęto jeszcze za czasów pierwszego rządu partii Jarosława Kaczyńskiego, następnie terminal powstawał (z poważnymi problemami, opisanymi w raporcie NIK odtajnionym w czerwcu 2018 roku) za rządów PO-PSL. Obecnie infrastruktura ta to fundament polskiej dywersyfikacji dostaw – terminal w Świnoujściu, dzięki szeregowi umów spotowych, średnio- i długookresowych podpisanych za rządów PiS m.in. z Katarczykami i Amerykanami, jest jednym z najbardziej wykorzystywanych obiektów tego typu w Europie.

Obecny rząd nie poprzestał jednak tylko na Świnoujściu. Praktycznie od momentu przejęcia władzy, PiS wdraża z rozmachem kompleksowy program dywersyfikacji dostaw gazu do Polski, który ukierunkowany jest na uniezależnienie kraju od dostaw gazu ze wschodu już w 2022 roku. Biorąc pod uwagę obecne postępy na tym polu, wiele wskazuje na to, że cel ten zostanie dotrzymany. Pomogą w

tym rozpoczęte już projekty pokroju Baltic Pipe (czyli gazociągu mającego połączyć Polskę przez Danię ze złożami norweskimi) i rozbudowy świnoujskiego terminala LNG o dodatkowe 2,5 mld m³ mocy regazyfikacyjnych (obecnie jest to 5 mld m³) z perspektywą do 10 mld m³ dzięki nowemu zbiornikowi, a także plany postawienia nowej jednostki typu FSRU w Zatoce Gdańskiej oraz ścieżka zwiększania własnej produkcji gazu za pomocą nowych złóż i pozyskiwania metanu z kopalń węgla. Wszystkie te projekty, będące faktycznym przewektorowaniem drogi zaopatrywania w gaz - leżą w możliwościach polskich spółek, co sprawia, że rok 2022 - zgodnie z zapowiedziami ministra Piotra Naimskiego - faktycznie może być końcem dostaw gazu z Rosji do Polski.

Sprowadzane nad Wisłę błękitne paliwo może nie tylko uniezależnić na tym polu Warszawę od Moskwy, ale także pomóc budować pozycję Polski w regionie - wszystko dzięki tzw. inicjatywie Trójmorza, która ma na celu połączyć państwa leżące między Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym siecią infrastrukturalną, w której segment przesyłu gazu odgrywa kluczową rolę. Innymi słowy mówiąc: Polska może stać się wkrótce eksporterem tego surowca na rynki Europy Środkowej.

Jako pewna niewiadoma jawi się w tym zakresie zauważalny wzrost wewnętrznego zużycia gazu w Polsce, które będzie postępować w miarę rozwoju energetyki, przemysłu i gazyfikacji nowych regionów. Od dynamiki tego procesu zależeć będzie bowiem polska nadwyżka błękitnego paliwa, którą będzie można eksportować. Obojętnie od tego zauważyć należy, że PiS w ciągu zaledwie 4 lat wdrożył w sektorze gazu kompleksowy program dywersyfikacji, bezprecedensowy w historii kraju.

Trendy dotyczące różnicowania kierunków dostaw widać także w sektorze naftowym. Potrzeba pilnej dywersyfikacji w tym zakresie wynika nie tylko z dość wysokiego poziomu uzależnienia Polski od importu ropy (sięgającego ponad 70%, a więc znacznie wyższego niż ma to miejsce w segmencie gazu), ale także ze względu na specyficzną sytuację, jaka miała miejsce na wiosnę 2019 roku - doszło wtedy do zanieczyszczenia ropy przesyłanej z Rosji na Zachód systemem Przyjaźń, co sparaliżowało dostawy tego surowca m.in. na Białoruś i do Polski. Choć polskie spółki - m.in. Orlen - chwalą się, że w ostatnim czasie udało im się obniżyć zależność od kierunku rosyjskiego (w przypadku spółki Daniela Obajtka udział ropy z Rosji spadł do 50%), to jednak nadal stanowi ona pewien problem, dostrzegalny przede wszystkim w momentach kryzysowych (amortyzowanych w pewnym stopniu przez zapasy ropy oraz działający naftoport).

Węgiel

Rząd Prawa i Sprawiedliwości słabiej radzi sobie w sektorze górniczym - i to pomimo dość obiecującego startu. Ekipa ówczesnej premier Beaty Szydło, obejmując władzę w 2015 roku, była bowiem w stanie uratować od upadku Kompanię Węglową (której położenie było krytyczne), przekształcić ją w Polską Grupę Górniczą i uzyskać zgodę Komisji Europejskiej na pomoc dla sektora węglowego (kosztem zamknięcia szeregu kopalń). Następnie rozpoczęto program naprawczy polegający m.in. na wstrzymaniu wypłaty dodatków dla górników. Jednakże, gdy sytuacja na rynkach światowych poprawiła się, bonusy zaczęły płynąć - rząd, poprzez szefów swoich spółek, ugiął się wobec postulatów związkowców, który wyczuli, że sytuacja ich pracodawców się stabilizuje.

Takie podejście do branży może się wkrótce odbić czkawką - głównie z uwagi na fakt, że czynnik wspomagający zmiany w polskim górnictwie węgla kamiennego, czyli koniunktura na światowych rynkach tego surowca, właśnie się wypala. Można zatem spodziewać się powtórki z sytuacji z lat 2010-2015, kiedy to dobra sytuacja globalna została „przejeżdżona” przez spółki, które na bok odstawiły sprawy wdrażania lepszego systemu zarządzania, pracy i inwestycji. Finał tej zabawy nastąpił w 2015 roku, kiedy Kompania Węglowa była na krawędzi bankructwa. Sprawę dość dobrze opisuje raport NIK za lata 2007-2015.

Brak koniecznych inwestycji w kopalniach dał się szczególnie we znaki w ubiegłym roku, kiedy padł

rekord importu węgla kamiennego do Polski (sprowadzono wtedy ok. 19,5 mln ton tego surowca). Choć Ministerstwo Energii tłumaczy, że jest to wynik przeszłych zaniedbań, które mają być wyrównywane nowymi inwestycjami, a sytuację spotęgował wzrost zużycia związany z oddawaniem nowych bloków węglowych do użytku (które mają zastępować wycofywane starsze jednostki), to jednak sytuacja ta jest dla rządu PiS poważnym problemem politycznym, gdyż gros importu pochodzi z Rosji (ok. 13 mln ton).

Z kolei w górnictwie węgla brunatnego dość problematyczną kwestią jest koncesja dla złoża Złoczew, które realnie decyduje o przyszłości zarządzanej przez spółkę grupy PGE Elektrowni Bełchatów. Według zapowiedzi wiceministra środowiska Piotra Dziadzio, koncesja ma zostać wydana do końca 2019 roku. Jednakże oznacza to spór z ekologami, którzy już teraz podejmują działania, by zablokować rozrost odkrywki.

Elektroenergetyka

Z kwestią węgla nieodmiennie łączy się sektor elektroenergetyczny, w którym ekipa Prawa i Sprawiedliwości radzi sobie nie najlepiej. Patrząc na krajowy park jednostek wytwórczych nie sposób nie odnieść wrażenia, że polska elektroenergetyka wpadła w stan dziwnej stagnacji, jakby nie mogąc obrać drogi, która powinna podążyć.

Biorąc pod uwagę założenia rozwoju energetyki przedstawione przez Ministerstwo Energii w ramach założeń do Polityki Energetycznej Polski do 2040 roku stwierdzić należy, że zarysowana w tym dokumencie ścieżka transformacji sektora odstaje już teraz od rzeczywistości – choć przecież cały czas mówimy o nieoficjalnym, niezatwierdzonym wciąż programie. Choć rząd PiS mógł korzystać z cieplarnianych wręcz warunków do realizacji forsownych inwestycji (własna większość w parlamencie, przychylny prezydent, dobra sytuacja gospodarcza), to decydenci tego obozu nie podjęli decyzji kluczowej dla branży energetycznej, tj. decyzji o rozpoczęciu budowy elektrowni jądrowej. A to właśnie taka jednostka jest fundamentem dla realizacji założeń PEP2040. To właśnie na atomie opiera się ścieżka dekarbonizacji i rozwoju źródeł odnawialnych. Choć przedstawiony przez ME dokument zakłada, że pierwszy polski blok jądrowy ruszy już w 2033 roku, to jednak termin ten już teraz wydaje się nierealny - najwięksi proatomowi entuzjaści pokroju prof. Andrzeja Strupczewskiego mówią bowiem, że realizacja takiej inwestycji pochłonie najszybciej 13 lat. A tymczasem rząd PiS nie wie ani gdzie, ani za co zbudować ma pierwszą polską jądrowkę, o ewentualnym partnerze technologicznym nie wspominając. Tajemnicą poliszynela jest fakt, że stan ten to efekt m.in. sporu w rządzie – losy polskiego projektu jądrowego wyklarują się zatem zapewne dopiero po niedzielnych wyborach.

Szereg kontrowersji w branży energetycznej wzbudziło także podejście PiS do segmentu odnawialnych źródeł energii, zwłaszcza zaś – do energetyki wiatrowej. Jej rozwój został w Polsce wyraźnie wyhamowany tzw. ustawą odległościową. Rozwiązaniem tego problemu mają być szerokie inwestycje w offshore oraz w fotowoltaikę (w te ostatnie moce również na poziomie rozproszonym, dzięki programom pokroju Mój Prąd czy Energia Plus). Widać jednak wyraźnie, że PiS chce budować energetykę odnawialną w sposób scentralizowany, co ułatwia kontrolę nad systemem, ale spowalnia proces instalacji nowych mocy, co z kolei rodzi wątpliwości dotyczące wypełnienia celów OZE na rok 2020.

Stagnacja w źródłach odnawialnych oraz zaburzenia na rynku zezwoleń na emisję CO₂ wywołały też bodaj największe energetyczne tąpnięcie dla partii Jarosława Kaczyńskiego, czyli awanturę o ceny prądu, która zaczęła się już w połowie 2018 roku. Celem ratowania wysokości rachunków za energię elektryczną w roku wyborczym, rząd PiS zdecydował się „zamrozić” te ceny specjalną ustawą. Jest to jednak rozwiązanie doraźne. Kompleksowego rozwiązania tego problemu na razie nie widać

Gdzieś między sektorem węglowym i elektroenergetycznym leży problem zanieczyszczeń powietrza,

powstających wskutek tzw. niskiej emisji, czyli emisji pochodzącej z przydomowych palenisk. Na tym polu Zjednoczona Prawica dokonała szeregu istotnych usprawnień, regulując m.in. jakość sprzedawanych kotłów oraz wdrażając program Czyste Powietrze, który jest pierwszym tak szeroko zakrojonym instrumentem walki z tzw. smogiem w Polsce. Jego efekty będą jednak dostrzegalne dopiero za kilka lat.

Całość

Opisawszy sytuację w najważniejszych sektorach trzeba wskazać na problem, który łączy je wszystkie w mniejszym lub większym stopniu – chodzi mianowicie o brak oficjalnego, wiążącego i uznanego politycznie programu energetycznej transformacji Polski.

Autor tego tekstu został na jednej z branżowych konferencji zapytany przez zagranicznego gościa o to, czym się różni polska transformacja energetyczna od niemieckiej. „Kluczową różnicą jest to – odparł – że Polska nie ma transformacji energetycznej”. Niestety, pomimo wdrażania istotnych zmian, PiS nie stworzyło wciąż wiążącej i długoterminowej strategii rozwoju energetyki ani nie zadbało o to, by nadać jej wymiaru ponadpartyjnego. A tego właśnie sektor ten potrzebuje najbardziej – oficjalnego ustalenia długoterminowej, stabilnej i przewidywalnej ścieżki rozwoju. To przecież od niej zależy, czy rząd i spółki będą w stanie przewidzieć, czy starczy gazu na import, czy trzeba inwestować w nowe ściany wydobywcze w kopalniach i jakie OZE są najbardziej potrzebne.

Rząd nie wykorzystał też w pełni okazji do budowania wizerunku polskiej energetyki, a takie poniekąd same wpadały mu w ręce. Mowa tu m.in. o katowickim COP24. Impreza klimatyczna zorganizowana w stolicy polskiego górnictwa to wymarzony plener do złożenia hucznych zapowiedzi w zakresie przemodelowania energetyki, zwłaszcza w zakresie dekarbonizacji realizowanej podług zasad sprawiedliwej transformacji. Niestety, miast takich deklaracji uczestnicy konferencji usłyszeli z ust prezydenta Andrzeja Dudy, że Polska ma węgla na 200 lat. Tymczasem, już w przyszłym roku w Unii Europejskiej oceniana będzie realizacja celów klimatycznych, czego doglądać będzie prawdopodobny komisarz ds. klimatu, czyli Frans Timmermans oraz niemieccy Zieloni, wybijający się na pozycję pierwszej siły politycznej w RFN. Warto w tym kontekście pomyśleć choćby o dacie wyjścia Polski z węgla.

Jak zatem podsumować działania PiS w sektorze energetycznym? Najlepiej posłużyć się tu obrazową metaforą. Wyobraźmy sobie dom, który wymaga kompleksowego remontu. Jego stan nie jest jeszcze krytyczny, ale odłożenie napraw na później może skutkować poważnymi tarapatami. Do pracy przystępuje zatem wynajęta ekipa. Fachowcy działają z rozmachem, w kilku pokojach robiąc naprawę niezłą robotę. Szybko wymieniają instalację gazową, nieco gorzej radzą sobie z elektryczną, mówią coś o montażu paneli na dachu i termomodernizacji. Ale właściciel domu zaczyna dostrzegać, że działania te nie są skoordynowane w dłuższej perspektywie – dlatego boi się, że wkrótce trzeba będzie np. kuć nowe, piękne płytki w łazience, by położyć dodatkowy kaloryfer. A z kolei sąsiedzi wkrótce mogą zacząć narzekać, że remont trwa zbyt długo i nie wiadomo, kiedy się skończy. Dlatego też warto pomyśleć o takich pracach szerzej – bo domem tym jest przecież Polska.